

Kuryer Poznański.

No. 234.

Redaktor odpowiedzialny:

Wtorek, 12 października 1875.

Nikazy Gruszczyński.

Rok IV

„Kuryer Poznański” wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych. Przedpłata kwartalna wynosi w mieście 7 marek 50 fen., w Cesarstwie niemieckim 9 marek 15 fen., w Austrii i Węgrzech 6 guldenów, w Francji Belgii, Szwajcarii i Włoszech 18 franków, w innych krajach cena prenumeracji w Poznaniu z doliczeniem odpłatnego portum. — Biuro redakcyjne przy ulicy Bydgoskiej No. 2. Ekspedycja przy placu Wilhelmowskim No. 8. Agent Kuryera: w Krakowie J. Czech, księgarz; we Lwowie F. H. R. i. O. Ogłoszenia przyjmują się w ekspedycji jako też u pp. R. Moisse w Berlinie, Frankfurtu n. M., Hali, Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norimberdze, Pradze, Strassburgu, Stuttgardzie, Wiedniu, Wrocławiu, Zurychu; H. H. H. i. O. w Hamburgu, Bazylei, Berlinie, Wrocławiu, Kamienicy (Chemnitz), Gdańsku, Dreźnie, Erfurcie, Frankfurtu, Genewie, Hali n. S., Hanowerze, Kolonii, Lausanne, Lipsku, Lubecie, Norimberdze, Pradze, Stuttgardzie, Wiedniu, Zurychu; D. H. i. O. w Frankfurtu; E. H. i. O. w Berlinie, Friedrichstrasse No. 74; B. H. i. O. w Berlinie, Lafta, Ballier, place de la Bourse 8 w Paryżu. — Cena inseratów wynosi od wiersza drobnego druku sześcioliterowego 1 sgr. 6 fen., reklam 3 sgr., łomaczenia na język polski bezpłatnie.

POZNAŃ, 12 października.

Projekt posła Joerga do adresu sejmiku bawarskiego wywołuje w półurzędowym dziennikarstwie pruskim ogromne oburzenie. Nordd. Allg. Ztg. traci głos z wściekłości i kontentuje się zacytowaniem kilku ustępów z organów południowo-niemieckich, jak Südd. Presse i A. Allg. Ztg., które, jak wiadomo, są na żołądź berliński, a które przyboczny dziennik księcia kanclerza zowie głównymi reprezentantami prasy bawarskiej. Oba pisma te naturalnie potępiają projekt do adresu a Nordd. Allg. Ztg. ztąd wywodzi, że jeśli adres ten Izba większością dwóch głosów przyjmie, sejm natychmiast powinien być rozwiązany. „Im szaleńsze są febrilne paroksyzmy dzisiejszego sejmowej większości w Bawarii, tym radykalniejszego należy się oczekiwać zwrotu” — tą nadzieją kończy swoje uwagi pismo kanclerskie.

Rosja zaczyna się zbierać w wielkim pośpiechu. Gaz. Nar. otrzymuje w tym względzie z różnych stron wiadomości. Pomiędzy innymi piszą jej z Hrubieszowskiego w Kongresówce, co następuje. „Straż pograniczna otrzymała z ministerium rozkaz, ażeby wygotowała natychmiast plany topograficzne najbardziej szczegółowe z jednej i z drugiej strony granicy, sięgając w głąb kraju na 35 wiorst. Przytęm polecono oficerom straży granicznej zbierać dokładne cyfry statystyczne, wykazujące rozległość ziemi ornej, lasów i ich jakość, łąk, ilość i jakość zbieranego siana, dochód, jaki dają brutto i netto majątki w tej przestrzeni położone, oraz szczegółowy opis i wykaz inwentarza. Oficerom polecono starać się, ażeby wykazy te statystyczne przez samych właścicieli ziemskich podpisały były.” Z również pewnego źródła dowiaduje się wzmiankowane pismo lwowskie, że w tych dniach w Lubelskiej przychodzi 80,000 wojska, sama kawaleria (?). N. fr. Presse w korespondencji z Petersburga donosi, że liczne korpusy wojsk moskiewskich koncentrują się w okręgu wojennym odeskim. Siła tych wojsk wynosi 100,000. Ze swojej strony Moskiewskie Wiadomości piszą, że ministerstwo wojny wyznaczyło specjalną komisję, która ma zbadać dokładnie pod względem strategicznym nadesłane przez główny zarząd inżynierii relacje o miejscowościach pogranicznych i o stanie obecnym fortów. Do komisji powołano przedstawicieli sztabu jeneralnego i oficerów od inżynierii.

Italie zaręcza, że rząd włoski bynajmniej się nie zraził, jak o tym z Wiednia pisano, dotychczasowemu niepowodzeniu misji konsułów w Hercegowinie i nie przestaje, wspólnie z rządem francuskim, popierać dalszych pacyfikacyjnych usiłowań trzech mocarstw północnych.

Zatarg z Wenezuelą wywołał w izbie holenderskiej interpelację posła van de Putte, na którą odpowiadając minister spraw zagranicznych, potwierdził fakt wyjazdu z Hagi po-

śła wenezuelskiego Rojaza z powodu, że Holandia nie mogła odstąpić od żądania, aby jej statkom dozwolono znów przystępu do portów wenezuelskich. Obecnie między obu państwami zerwane są stosunki dyplomatyczne a położenie, jakkolwiek nie jest zbyt groźne, dość jest przecie drażliwym, by w sprawie zatargu zachować jak największą ostrożność i wstrzeźliwość. — Wskitek tego oświadczenia Izba wstrzymała się od wszelkiej nad kwestyą wenezuelską dyskusji.

Cesarz brazylijski pięknymi słowy zamknął posiedzenia sejmiku, wyrażając nadzieję, że udzielona przezeń amnestya przywróci napowrót harmonię pomiędzy Kościołem a państwem.

We Wrześni odbył się dnia 10 b. m., t. j. w niedzielę po południu wiec w sprawie wyborów kościelnych i oświaty ludowej.

Przewodniczącym wybrali zgromadzeni pana hr. Edwarda Ponińskiego, który udzielił głosu proboszczowi wrzezińskiemu ks. dr. Stablewskiemu. Mówca dawszy obszerny i jasny pogląd na obecną walkę kościelno-polityczną, poczynając od prawa bawarskiego ministra Lutza aż do ostatnich objawów tejże walki, wyjaśnił prawo o zarządzie majątku kościelnego i nadmieniał, że parafia wrzezińska obierać będzie 10 prowizorów i 30 członków reprezentacji parafialnej. Przeczytawszy ułożoną przez dawniejszy dozór kościelny i mężów zaufania listę kandydatów, którą zebrani z małemi zmianami przyjęli, zawiadomił obecnych, że wybór nastąpi w końcu b. m. Po zakończeniu tej pierwszej części wieca wezwał przewodniczący zgromadzonych, aby wysłali adres do J. Em. ks. Kardynała Ledóchowskiego w Ostrowie, co też za zgodą i ku wielkiej radości zebranych natychmiast drogą telegraficzną uskutecznił.

Następnie uproszono p. Juliana Bukowieckiego ze Sędziwojowa, aby przemówił do zebranych o najistotniejszej i najbardziej nas obchodzącej sprawie oświaty ludowej. Mówca jasno i przystępnie wyłożył zgromadzonym potrzebę kształcenia ludu przez pisma czasowe i książki ludowe, przez zakładanie kółek rolniczych, liczny udział w towarzystwie oświaty ludowej i t. d. Na propozycję mówcy postanowiło zgromadzenie zaprosić posła powiatu wrzezińskiego, p. Łukomskiego z Gonic, do zdania w Wrześni sprawy z czynności koła poselskiego.

Zebranie było liczne i, co główna, że wszystkie stany na niem były reprezentowane.

KORESPONDENCJE KURYERA POZN.

Z pod Gostynia, 10 października.

(Sprawa zarządu majątkiem kościelnym.)

(W. S.) Wielu wyrażało nadzieję, że Dozór,

skoro obejmie urządowanie, obejmie też zarząd majątkiem kościelnym, który dotąd sprawowali wyznaczeni przez rząd komisarze. Na mocy tego wręczył p. Gustaw Potworowski, dziedzic Goli, meszne Dozorowi, aby uniknąć nagabywań zarządcy majątku probostwa gostyńskiego p. Rudolpha, odniósł się w tej sprawie do „królewskiego komisarsza do zarządu arcybiskupiego nad majątkiem w diecezji poznańskiej”, na co odebrał od tegoż pismo z datą 9 października po niemiecku i po polsku, którego tekst polski przytaczam:

Na łaskawe pismo z dnia 8 b. m. oświadczam Wielmożnemu Panu, że nowo wybrany Dozór katolickiego kościoła w Starym Gostyniu nie jest uprawniony do odbierania dochodów należnych tamtejszemu plebanii. W tym celu jest upoważnionym sam tylko przez pana prezesa naczelnego zamianowany komisarz do zarządu majątku plebańskiego królewski policyjno-dystryktowy komisarz Rudolph w Gostyniu, gdyż ustawa z 20 czerwca r. b. nie została zniesiona w żaden sposób ustawą z 21 maja r. z. Przez odstąpienie dotyczących przedmiotów Dozorowi kościelnemu nie dopełniłeś zatem Wielmożny Pan swego obowiązku.

Tak więc nadzieja, że przez przyjęcie ustawy z 20 czerwca utrzyma się majątek Kościoła w ręku narodowym, okazała się płonną. Komisarze będą odbierali meszne i nadal, prawdopodobnie będą brali odsetki od wypożyczonych pieniędzy. P. Rudolph bez porozumienia się z Dozorem oddał plebanii w St. Gostyniu na mieszkanie żandarmowi mającemu liczną rodzinę. Dozorowi zostanie jeszcze jedynie pobieranie akcydensów dla kościoła, zapewne nie wiele, aby o to tyle robiono chałasu; a i tu jeszcze rząd nadzoruje.

Dziś w St. Gostyniu rocznica Poświęcenia kościoła. Dotąd każdy odpust się odprawiał; dzisiaj po raz pierwszy nie było nabożeństwa. Gdy jeden z księży zamieszkałych w parafii wszedł do kościoła, natychmiast żandarm zamieszkały w St. Gostyniu wraz z przybyłym na pomoc żandarmem z Gostynia stanęli przy drzwiach kościoła, sądząc, że to był ks. Kinowski. Gdy pomodliwszy się czas jakiś w kościele, wyszedł, natychmiast zaczęli badać, czyli nie jest księdzem Kinowskim. Mimo, że im zaręczył, iż nim nie jest, szli jakiś czas niedowierzająco za nim, a później mówili: znowu omyłka!

Kraków, 9 października.

(Teofil Lenartowicz. — Jeszcze książka p. Walewskiego a dziennikarstwo lwowskie.)

(+) Kraków przez całe lato zapalony przejeżdżnymi w góry i do kąpiel, pod jesień dopiero zupełnie się wypróżnia. W tych dniach żegnano w różnych kościołach i kółkach tyle sympatycznego poety Teofila Lenartowicza, którego pobyt ożywił serca, rozlitł nie jedną iskrę szczerzego uczucia, przyczynił się do rozwiania nie jednego uprzedzenia. Poeta ma nieprzebrany zasób miłości, wyrozumienia, pobłażliwości na niedostatki, jakie w kraju zastał, a jak pokorny duchem, tak wolny od uprzedzeń, jadu i goryczy — i nie dziw, bo ta

miłość na opoce wiary oparta. Religijność nadwilańskiego lirnika powszechnie znana, w poezji jego tylokrotnie uwydatniona, ma granitową podstawę dogmatyczną. To też wpływ jego jest tem korzystniejszy, że urok, jaki go otacza, daje mu możność wypowiadania ostrzeżeń, zatwierdzenia zasad, na jakich się wspiera jedynie prawdziwa miłość Ojczyzny i prawdziwe poświęcenie zasad katolickich. Zasady te właśnie dobitnie przed odjazdem wypowiedział wśród grona młodzieży uniwersyteckiej, która go uczciła wieczorkiem pożegnawczym w czytelni akademickiej. Rzekł on tam między innymi: Dwie gwiazdy, które nas prowadziły, to była miłość Boga i miłość Ojczyzny, dziś miłość Ojczyzny, o ile słyszę, miała zejść na dalsze pole, a o miłości Boga i Kościoła niechaj słyszeć. Uniwersytet panowie, jest jakby wspaniałym perystylem, ale wtenczas kiedy prowadzi do gmachu wspanialszego jeszcze, do gmachu Kościoła. Szczerzy zapal, jakim te słowa były przyjęte przez młodzież, dowodzi dobrych usposobień między naszą uniwersytecką młodzieżą, którą bałamuci wielu, ale u której zawsze łatwo dopukać się do serca, do uczuć religijnych i patriotycznych, byle one, tak jak mówił dalej poeta, objawiały się nie czczym frazesem ale cichą pracą.

Nieszczerą książką p. Walewskiego ciągle się jeszcze zajmują. Jak pojawienie się takiego szeregu paradoksów, tak i zbyteczne rozprawianie o niej jest symptomem niezdrowia umysłowego. Zwracam przeto waszą uwagę na jedną trafną ocenę książki i agitacji, jaką wywołała. Artykuł w Przeglądzie polskim, kompetentnym skreślony piórem, winienby stanowczo zamknąć polemikę, gdyby jej nie podtrzymała zła wiara i ów sykofantyzm patryotyczny, który lubi wyciągać podejrzenia, jakim sam nie wierzy, i oburzać się, dla podniesienia umysłów. Artykuł w Przeglądzie także godzien uwagi.

Wogóle jakżeż to ciężka walka, walka ze złą wolą i złą wiarą, a spotykamy ją na każdym kroku. Grunt usposobień ogółu nie jest złym, ale demoralizowanie opinii przez jej wrzeczne organa odbywa się ciągle na wielką skalę. Niema wypadku, niema objawu, którego by niewyzyskiwano. Dzienniki lwowskie, które się kłócą między sobą o drobnotki, puszczając wodze jalousie du m etier, kiedy chodzi o ocenienie teatru, jakiejś śpiewaczki, lub cyrku, i jeden chwalić musi, gdy drugi gani — w kwestjach zasad stanowią falangę. Spieszna na wysięgi, aby zachwiać zaufaniem do Akademii, rzucić się na tyle zastrzeżonego Szujskiego, jeśli jest zmuszonym jechać do Czerniowiec, niesławieć najzaczniejszych kapłanów, jak ks. Goltana i innych pasterzów, wydawać wojnę konserwatywnemu i katolickiemu Krakowowi.

W Krakowie ten rodzaj pracy pojawia się tylko sporadycznie. Kosztowny ale krótki był żywot Kraju. Djabieł, co wierny swemu imię

Martwe Dusze.

Poemat

przez

Nikolaja Gogola.

(Ciąg dalszy. Zob. Nr. 233.)

Pisarz wkrótce przyszedł. Był to człowiek czterdziestoletni, goły brodę, chodził w surducie i jak się zdawało, wiódł bardzo spokojne życie, bo twarz miał obrzękłą, a cera żółtawa i małe oczy dowodziły, że wiedział aż nadto dobrze, co to jest poduszka, piernat i pierzyna. Zaraz można było odgadnąć cały przebieg jego życia: z początku był prostym chłopcem w domu, umiejącym czytać i pisać, potem ożenił się z klucznicą, fa-worytką pani i sam został klucznikiem, a tam już później i pisarzem. Gdy wyszedł na pisarsza, postępował jak wszyscy pisarze: przyjaźnił się i ku-mała z bogatszymi właścicielami, na biedniejszych większy czynsz nakładał; obudziwszy się koło 9 z rana, ziewając czekał, aż mu dadzą herbatę.

— Proszę cię, mój kochany, powiedz mi, ilu chłopów umarło u nas od czasu, jak podaliśmy ostatnie rewizyjne listy?

— Jakto — ilu? dużo ich od tej pory umarło, powiedział pisarz i w tej chwili mu się odbiło, ale zasłonił ręką usta.

— Przyznam się, że i ja tak sądziłem, prze-wał Maniłow, — w samą rzeczycz dużo ich umarło! Obrócił się do Cziczikowa i dodał jesz-cze: — tak jest, dużo ich umarło.

— Ale iluż naprzykład? zapytał Cziczikow.

— Tak; iluż dodał Maniłow.

— Ilu? Nie wiadomo, ilu umarło, nikt ich nie rachował, odpowiedział pisarz.

— W samą rzeczycz, rzekł Maniłow, zwraca-jąc się do Cziczikowa, ja tak samo sądziłem, śmiertelność była wielka; nie wiadomo, wielu ich umarło.

— Proszę cię, przelicz ich, rzekł Cziczikow do pisarza, i zrób rejestrzyk, wyszczególniając ka-żdego po imieniu i po nazwisku.

— Tak, wszystkich po imieniu i po nazwi-sku, dodał Maniłow.

— Uważam, odpowiedział pisarz i odszedł.

— Do czego wam to potrzebne? zapytał Ma-niłow po wyjściu pisarza.

To zapytanie, jak widać, zmieszało cokolwiek gościa, poczerwieniał nawet. Pomieszenie jego dało się nawet uczuć w odpowiedzi, bo rzeczywi-ście Maniłow naraz usłyszał takie dziwne i nad-zwyczajne rzeczy, jakie się jeszcze nigdy nie obły-o ludzkie uszy.

— Pyta się pan dla czego? Oto jest przy-czyna: ja chciałbym kupić włościan... rzekł Ci-zichow, ale się zachłystnął i nie kończył zdania.

— Proszę mi powiedzieć, jak pan masz za-miary ich kupić, rzekł Maniłow, — czy z ziemią, czy też dla przesiedlenia? to jest bez ziemi?

— Nie, właściciwie nie chodzi o to, żeby to byli zupełnie włościanie, rzekł Cziczikow: — ja-bym pragnął kupić tych zmarłych.

— Co? przepraszam... ja trochę nie dosły-szę, a usłyszałem jakiś dziwny wyraz...

— Ja mam zamiar nabyć zmarłych, to jest takich, którzy nie są wykreśleni z spisów a liczą się dotąd do żywych, powiedział Cziczikow.

Maniłow wypuścił z rąk cybuch z fajką, otworzył usta i w takiej pozycji pozostał parę minut. Obydwa przyjaciele, tak mile niedawno rozmyślający o przyjemnościach wspólnego życia,

pozostali nieruchomi, wlepili oczy jeden w dru-giego, niby portrety staroświeckie, zawieszono na-przeciw siebie. Nakoniec Maniłow podniósł fajkę i cybuch i popatrzał z dołu na Cziczikowa, czy nie dojrzy uśmiechu na jego ustach, czy on nie żartował sobie; ale niczego podobnego nie spo-strzegł, owszem twarz jego była spokojniejszą niż zwykle. Pomyślał też sobie, czy gość jego nie do-stał przypadkiem pomieszczenia zmysłów i ze stra-chem mu się przyglądał; ale oczy gościa były jas-ne, nie było w nich dzikiego, niespokojnego ognia właściwego waryatom, wszystko przedstawiało się przyzwoicie i w porządku. Chociaż Maniłow my-słał i przemysliwał, co tu robić, nie wymyślić nie mógł i skończył na tem, że wypuścił cienkim stru-mieniem dym, który miał jeszcze w ustach.

— Tak jest, chciałbym wiedzieć, czy pan może sprzedać mi, albo odstąpić, albo, jak się tam panu będzie podobalo, tych nie żywych rze-czywiście; ale żywych podług prawa!

Maniłow taki był zawstydzony, pomieszany, że tylko patrzył na niego.

— Mnie się zdaje, rzekł Cziczikow, że wy-widzicie w tem jakieś trudności.

— Ja?... nie, ja nie to, mówił Maniłow, — ale nie mogę pochwylić... przepraszam... ja ro-zumie się nie otrzymałem takiego świętego wy-chowania, które, że tak powiem, można spostrzedz w każdym waszym ruchu; nie mam daru wy-mowy... Może być, że właśnie... w tem, dopiero-co przez pana powiedzianem zdaniu... ukrywa się co innego... Może być, że wysięcie się tak raczyli wyrazić dla krasomówstwa?...

— Nie, wcale, przerwał Cziczikow, ja rozu-miem rzecz tak, jak jest; to jest te dusze, które już umarły.

Maniłow do reszty stracił przytomność; czuł, że potrzeba było cokolwiek przedsięwziąć, zrobić

jakie zapytanie; ale jakie? djabli wiedzieli. Skoń-czył na tem, że znowu wypuścił dym, tylko już nie ustami, ale nosem.

— Zatem, jeżeli nie ma żadnych przeszkód, to z Bogiem możemy przystąpić do sporządzenia aktu sprzedaży, rzekł Cziczikow.

— Jakto, na martwe dusze akt?

— Oh nie, rzekł Cziczikow. — My napi-szemy, że one żywe, tak jak jest w rzeczywistości napisane w rewizyjnych listach; mam zwyczaj nig-dy nie odstępować od litery prawa, chociaż cier-piałem za to podczas służby, ale już proszę wy-baczyć: dla mnie prawo świętym obowiązkiem — staje się niemym w obliczu prawa.

Ostatnie słowa podobaly się Maniłowowi, ale interesu samego on nie mógł żadnym sposobem przeniknąć, zamiast odpowiedzi zaczął tak mocno ciągnąć, że cybuch chrapał jak fagot. Zdawało się, że chciałby z cybucha wyciągnąć jego zdanie; ale cybuch chrapał — i nic więcej.

— Może macie jakie wątpliwości? zapytał Cziczikow.

— Wcale nie! Ja nie co do tego mówię, żeby mieć jakiegokolwiek, to jest krytyczny pogląd. Ale proszę mi pozwolić zapytać się, czy to przed-sięwzięcie albo raczej, żeby jeszcze, że tak po-wiem, lepiej wyrazić się, czy ta negocjacja nie będzie przeciwną, nieodpowiednią, przepisom cywilnym, i czy nie zagraża przyszłym widokom Rosyi?

Tu Maniłow zrobił znaczące poruszenie głową i znacząco popatrzał w twarz Cziczikowa. Swoję zaś twarz nadał wyraz taki myślenia, że nie zdarzyło się nigdy człowiekowi coś podobnego widzieć, chyba tylko u jakiegoś bardzo mądrego ministra i to jeszcze w chwilach najważniejszego interesu.

Ale Cziczikow odpowiedział po prostu, że

Nakładem Ludwika Gaylera. — Czerwonkami L. Morabacha.